

Kronika tygodniowa.

Już dawno, zabierając się do pisanja kroniki, nie byłem w tak krytycznem położeniu, w jakim się dzisiaj znalazłem. Pomijam już tę okoliczność, że w ubiegłym tygodniu rozpisalem się o wiosnie, w ścisłym tego słowa znaczeniu i w przenośni, a tu w sam wielkotygodniowy wtorek mieliśmy śnieg i mróz prawdziwie listopadowy, bynajmniej nie wpływający dodatnio na badzącą się do życia przyrodę, z szerokiego świata dochodząca nańto wieści, nie rokujące tak rychłego i w tej mierze spełnienia się naszych pragnień serdecznych, jak to nie tak jeszcze dawno przewidywalibyśmy, a raczej, jak nam łaskawie pozwolono się tego spodziewać.

Ale winą to nie kromikarza, lecz niebieskiego referenta od poroty, pozostałego widocznym w stosunku i pod wpływem Centrali śniegowej, bo i taka chyba musi istnieć, skoro śniegu mieliśmy w tym roku stosunkowo tak mało. Teraz widocznie nadszły świeże zapasy, coś w gąszie owej nacji ukraińskiej, mającej zaspokoić nasz apetyt, ale dopiero... w maju.

Nie to jednak powodem mych zmartwień kromikarskich. Piszac poprzednią kronikę, nie myślałem nawet o tem, że „wyższe sfery“ będą innego zdania i gdy ja śpiewam o wiosnie, one nam przypominają zimę, z wszelkimi jej przyjemnościami. Tamto już się stało i odstać się nie może, gorzej natomiast, że niniejsza kronika, w myśl nieodwołalnych zarządzeń drukarni, musi być z kalamarza przelaną na papier jeszcze w Wielkim Tygodniu, więc w okresie przeznaczonym na umartwianie ducha i ciała, gdy tymczasem Czytelnicy dostaną ją do rąk dopiero po świętach, to jest wtedy, gdy będą, a przynajmniej być powinni, w zupełnie innem usposobieniu i nastroju, niż kromikarz wówczas, gdy ją pisał.

Że w tym właśnie czasie pościłem rzetelnie, w to nikt chyba nie wątpi, suszyłem nawet, dzięki coraz pomyślniej układającym się koniunkturom, przez co zmazałem, sądzę, wszelkie me grzechy i wyczyściłem należycie swą sumienią hipotekę, nie mogłem przecie, z tego właśnie powodu, nastroić się tak, jakby tego wymagali Czytelnicy, którzy kronikę wezmą w ręce w tygodniu poświęconym, przeznaczonym na obżarstwo, pijaństwo i w parze z niemi idące lenistwo, nie mówiąc o reszcie. Czytając ją, powinni więc być nastroszeni jeszcze świętecznie, gdy natomiast ja, puszczając ją w świat, byłem jeszcze usposobiony zupełnie wielkopostnie.

Mógłbym, co prawda, dać się nnieść bajnej imaginacji i opisać już teraz, jak święta Wielkanocne spędziłem, choć od nich dzieli mnie jeszcze dni kilka, niestety, nie mogę tego uczynić już choćby z tego tylko powodu, iż zwłaszcza na drugi dzień świąt, to jest na poniedziałek, przypada taka moc rozmaitych uroczystości, że niespodzianki nie powinny być wykluczone. A żyjemy przecie w czasie, gdy one są na porządku dziennym.

Poniedziałek więc Wielkanocny jest przede wszystkim dla każdego śmiertelnika, pobierającego jakąś w miesiącu płacę (o ile jej *nota bene* przeatem zaliczkami nie nadszarpał!), dniem bardzo pożądanym, ze względu na nadpłynięcie floty, na którą czekał niecierpliwie przez cały miesiąc. Równocześnie obchodzimy też „*Prima Aprilis*“, czyli „zwodziciela“, Śmigus i Emaus (szewcy ponadto i tak zwany „*blaumontag*“), ponadto w dniu owym, raczej nocy, dzień ten poprzedzającej, każdy śmiertelnik, będący szczęśliwym posiadaczem zegarka, będzie mógł cofnąć jego wskazówki o godzinę, by rozpocząć w ten sposób urzędowy czas letni.

Ze względu więc właśnie na zbieg tyłu i tak ważnych okoliczności, nie jest wykluczoną jakś niespodzianka, którą z góry trudno przewidzieć, a tem trudniej jeszcze o niej pisać, łatwo bowiem można się pomylić i ściągnąć na się zarzut, że kromikarz wywiódł w pole Czytelników, choć już pierwszy kwiecień należy do przeszłości.

Wrażenia więc z okresu świątecznego zostawiam sobie na później, a na razie zajmę się drobiazgami, które akurat nadają się do poruszenia w tej, nazwijmy ją „przejściowej“ kronice, bo pisanej w marcu na kwiecień.

W tem utrapieniu ducha, w jakim się z tego powodu znalazłem, wyszedłem na miasto, aby szukać natchnienia, ponieważ zaś lubię czytywać ogłoszenia, zwłaszcza urzędowe, zatrzymałem się przed obwieszczeniem, dorównującym rozmiarami średniej wielkości prześcieradła, a normującemu ceny za jabłka. Dowiedziałem się stamtąd, że jabłka są wcale tanie, cena bowiem za kilogram krajowych nie dobiegła dwu koron i jak dotkliwe kary, tak doczesne, jak i wieczne czekają tych, którzy odważyliby się nie zastosować

do owej taryfy maksymalnej, wydanej przez c. k. Namiestnictwo.

Ponieważ jabłka lubię, a w danej chwili byłem posiadaczem dwu koron, wstępuję do pewnej owocarni, by sobie na ten zbytek pozwolić.

Jabłka są, to prawda i nawet wcale ładne, ale gdy się o cenę zapytał, aż ścierpła na mnie skóra... Bo i cóż się pokazało?... Kilogram kosztuje tylko... ośm koron.

— Co?... Ośm koron? — pytam, pewny, że się przesłyszałem.

— Tak jest, ośm! — brzmi spokojna odpowiedź.

— Za te psiarki?... —

— To nie są żadne psiarki!... To są prawdziwe tyrolskie renety!... Niech ja taki zdrowy będę, ile ja tracę na tym towarze! — kupiec mi na to. — Ja powinienem liczyć za tyrolskie jabłka ośm koron, a za renety także ośm, ale ja się kontentuję małym zyskiem!

— A taryfa maksymalna? — pytam znowu.

— Taryfa — brzmi na to odpowiedź — pozwala brać więcej za jabłka zagraniczne... Wyrażenie napisano o tem w rozporządzeniu, które odnosi się tylko do jabłek krajowego pochodzenia!...

Rzuciłem okiem na ogłoszenie, przybite w sklepie w miejscu, jak każe ustawa, dla każdego widocznym i musiałem sprzedawcy przyznać rację. Znajduję się tam odpowiednia klauzula, wobec której całe to rozporządzenie staje się bezprzedmiotowe, gdyż równocześnie z jego pojawieniem się, zniknęły z horyzontu jabłka krajowe, a pozostały tylko zagraniczne...

I nie szkoda to wysiłków referenta, który łamał sobie głowę nad tem, aby rozporządzenie njąć w paragrafy, czy nie szkoda kosztów druku i rozlepiania ogłoszeń?... Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki miejsce jabłek krajowych zajęły zagraniczne, dlatego tak się nazywające, ponieważ w swym czasie wywędrowały do Wiednia z Galicyi, by potem pod inną firmą i po wyższych cenach stamtąd powrócić.

Z jabłkami w wojennym czasie stało się więc to samo, co w pokoju, dajmy na to, z bibułkami cygaretowymi, które rodem z Sassowa w Galicyi, jechały potem w arkuszach do Wiednia lub Paryża, by stamtąd pięknie już pocięte i opakowane, wrócić do swej ojczyzny. O krajowe bibułki nikt nie pytał, każdy nawet potrafił drugiemu wytłumaczyć, że wyrób krajowy nie może wytrzymać nawet porównania z zagranicznym!...

Taki to już jednak u nas zwyczaj, że „cudze chwalmy, swego nie znamy“ i ciężko zapracowanym groszem napechamy z zasady kieszenie różnych zagranicznych spekulantów, wiedzących dobrze o tem, że Galicya to ziemia obiecana dla nich i dla ich wyrobów, choćby one pochodziły właśnie... z Galicyi. Z tego też, a nie z innego powodu tak się w swoim czasie opierano we Wiedniu wyodrębnieniu Galicyi. Tamtejsi przemysłowcy obawiali się, że stracą najlepsze i najpewniejsze źródło odbytu dla swej... tan-dety, bo nieraz trudno inaczej nazwać ich towary, którymi zasypywali Galicyę i dziś ją zasypują i dlatego też wszelkich dokładali zawsze starań, by nasz rodzimy przemysł zdusić w samym zarodku.

Udawało się im to, przynajmniej trzeba, a my sami pomagaliśmy im bardzo wydatnie w tym kierunku.

Jabłek więc nie jadłem i to bynajmniej memu zdrowiu nie zaszkodziło. A obejść się bez nich chyba łatwiej, niż, dajmy na to bez maki lub mięsa. Dwa te artykuły podały sobie widocznie rękę i zniknęły z widowni, napelniając boleścią zwłaszcza serca gospodyń, nie mogących sobie dać rady z nakarmieniem inwentarza domowego, należącego wprawdzie *de nomine* do rodzaju *homo sapiens*, ale nie chcącego zrozumieć, że z próżnego nawet Salomon nie należy.

We Wiedniu poręba pieczeni w pierwszorzędných restauracjach doszła już do dwunastu koron, my nie osiągnęliśmy jeszcze tego rekordu, ale należy się spodziewać, że i u nas do tego dojdzie, zwłaszcza, jeżeli dalej będzie się z Galicyi wwozić to, co jest dla nas samych niezbędne do utrzymania życia.

Ogromnie też się ucieszyłem, gdy wyczytałem w jakimś piśmie, że w Krakowie ma być powołana do życia straż obywatelska, której zadaniem będzie przestrzeganie pilne, by z miasta i kraju nie wywożono artykułów spożywczych. Straż obywatelska w czasie swego urzędowania w lutym dała tyle dowodów sprawności, iż należałoby się spodziewać, iż i teraz sprostą swemu zadaniu. Niestety, jak się zdaje, skończyło się tylko na projekcie.

A pole do popisu miałyby bardzo szerokie. Są jednostki, które obecnie tem tylko się trudnią i robią na tem wcale dobre interesy. W kieszeni takiego przemysłowca, sięgającej nieraz od pleców aż po pięty, wygodnie zmieścić się może korzec ziemniaków, lub choćby cały prosiak, na pochwałę zaś wyznawców Mojżesza przyznać należy, że się asymilują i nie wa-

hają się handlować i mięsem wieprzowem, które dotąd według ich przekonania było „nieczyste“.

Także i owa policyjna Aida, o której już wiele mówiono i pisano, choć dotąd nie miała jeszcze szczęścia by się wybitnie odznaczyć, miałaby sposobność do rehabilitacji i zyskałaby sobie wdzięczność bodaj żołtów krakowskich głodomorów, żyjących dziś ani chlebem, ani słowem Bożem, ale jedynie wspomnieniami i nadzieją lepszej przyszłości.

Ja sam, gdyby podobną straż obywatelską zorganizowano, zgłosiłbym się w jej szeregi, ale pod tym warunkiem, jeśliby mi wyznaczono jedynie nocne kontrole, bym miał pretekst uzyskania wieczornego urlopu od mej kochanej Weroniki, która na tym punkcie jest bardzo drażliwa. Nie byłbym zresztą w tym kierunku wyjątkiem, znam bowiem bardzo poważnych obywateli, którzy ochotnie zaciągnęli się w kadry byłej straży obywatelskiej i do dnia dzisiejszego pełnią gorliwie swe ciężkie obowiązki, wracając regularnie „z kontroli“ nad ranem dopiero do domu. A jak są zmęczeni, jak narzekają na swe ciężkie obowiązki, które pełnią zupełnie bezinteresownie, jedynie tylko z obywatelskiego poczucia, o tem zaświadczyć mogą ich czcigodne magnifiki, słyszące codziennie ich skargi.

Jedni „organizują się“ i dlatego muszą mieć stale „przecczas“ od władzy domowej, inni „pełnią kontrolę“, ciekawy jestem, dlaczego ja nie mógłbym w ten sposób tropić i tępić tych łajdaków, którzy nas pozbawiają najniezbędniejszych środków spożywczych. A byłbym w swem urzędowaniu bezwzględny, nie dałbym pardonu nikomu, mężczyźnie ni kobiecie, brzydkiej, a nawet ładnej. Ja bo już jestem taki!... Jeśli co robię, to robię sumiennie, a w tym względzie mogę się powołać choćby na świadectwo mej dożgonnej towarzyszkii życia, którą w ostatnich czasach, zajęty polityką, puściłem nieco kantem, co spotkało się z wytknięciem ze strony kilku P. T. Czytelników.

Zresztą jestem pewny i Weronika była z tego tylko zadowolona, że w okresie przedświątecznym dałem jej spokój, miała bowiem dość domowo-gospodarskich kłopotów, bo, niech tam będzie źle, jak chce, na stole w oba dni świąt musi się coś znaleźć. Cóżby na to powiedzieli ludzie, a zwłaszcza jej przyjaciółki, gdyby której przyszła ochota ją odwiedzić a ona nie mogła się przed nią pochwalić jakąś babką lub plackiem, choćby nawet i ze zakalcem. Na czem innem można oszczędzić, a na to znaleźć się musi, nie od parady przecież wymyślono przysłowie: „Zastaw się, a postaw się...“ i „Jak cię wilża, tak cię pisał“.

Cieszyła się biedaczka, czytając swojego czasu obietnicę, że ukraińska mąka już do nas jedzie, ale potem rzędła jej mina, gdy się dowiedziała, że owa mąka nie tylko do nas nie przyjechała, ale, przeciwnie, trzeba było jeszcze posłać na Ukrainę zapasy dla wojska, by tam głodu nie cierpiało.

Że owa mąka dotąd nie nadeszła, temu, jak się pokazuje jest winna tylko Galicya... I mąka i inne specjały byłby już dawno stamtąd nadeszły i to w bardzo okazałej ilości, gdyby nie władze galicyjskie (tak przynajmniej twierdzą niemieckie dzienniki), które wszystko chcą zabrać dla siebie.

Gdy onegdaj odczytałem artykuł w którymś piśmie wiedeńskim, a może nawet i w naszej poczytywanej *Kra-kauerce* czytał jeden z mych znajomych, nie mógł już powstrzymać objawów zewnętrznych swego wewnętrznego oburzenia i rzekł:

— To, panie, przecie łajdactwo, o pomstę do nieba wołające!

— Co kochany radca ma na myśli? — zapytałem.

— A cóżby?... Owe trudności, jakie nasze władze galicyjskie robią dowozowi z Ukrainy.

— Radca do bodziej czeka na mąkę?

— Nie!... Maki mam. Bogu dziękować, zapas niezgorzyszy! Ja myślałem, że stamtąd dostaniemy i kawiora, którego już mi brakuje!

— Pfe!... Wstyd!... My czekamy na mąkę, a radcy w głowie takie głupstwa, jak kawior!

— To nie głupstwa!... Kawior, panie łaskawy, to dla mnie środek leczniczy!... On pobudza umysł do szlachetnych czynów i do pracy dla ogółu!...

— Być może!... Na tem się nie znam, ale to wiem, że bez kawioru obchodzi się ogromna większość ludzi, gdy tymczasem bez maki i bez chleba, jak powiada pewien mecenas, „nie da rady!“

— Śmiej się pan z tego!... I bez maki i bez chleba obejść się można... Ot, ma pan przykład na mnie! Mąka i chleb mogą dla mnie nie istnieć, a mam już, Bogu dziękować, z górą sześćdziesiątkę!... Czasem tam zje się bułeczkę lub rogalka, ale, żeby się bez nich obejść nie mógł, tego nie powiem. A wywołacie tylko: „chleba i maki!“ i jestem przekonany, że nie z potrzeby, ale aby magistratowi przysporzyć kłopotu w tych ciężkich czasach... Czy się to godzi? Zresztą chleb i mąka są niezdrowe, bo zamulają żołądek. Jeśli pan nie wierzy, niech się pan o to zapyta pana fizyka...